

Trump dąży do wojny nuklearnej

25 maja 2018

Demokracja! Piękne słowo, gdy patrzymy na nie wypisane czarno na białym. Jednakże w praktyce okazuje się, że ma ono tyle znaczeń, ilu jest jego interpretatorów.

Demokracja jest pojmowana inaczej w każdym kraju, który uważa się za demokratyczny. Na przykład demokracja w Rosji różni się od demokracji w Chinach, a demokracja w Irlandii różni się od demokracji w Polsce, Japonii, Wenezueli i wielu innych krajach, które swoiście interpretują i stosują główne i pomniejsze aspekty demokracji. W jeszcze innych, ich wersja demokracji w ogóle nie jest kompatybilna z prawdziwym znaczeniem tego terminu.

Demokracja opiera się na kilku głównych filarach. Przede wszystkim rządy demokratyczne powinny nie tylko uwzględniać „wolę ludu”, ale być jej wykładnikiem i rezultatem. Prawdziwa demokracja nie może tej woli ignorować, działać niezgodnie z nią lub wręcz działać przeciwko niej. Drugim filarem jest posiadanie konstytucji, która określa ramowe prawa i obowiązki zarówno rządu i różnych struktur zarządzania oraz partii działających w kraju, jak i zwykłych obywateli. Trzecim filarem jest parlament składający się z przedstawicieli narodu, których obowiązkiem jest reprezentowanie ludu i wyrażanie jego woli na forum parlamentu. Następnym filarem jest obowiązek przeprowadzania okresowych wyborów posłów do parlamentu oraz wyborów prezydenta. I tak dalej – m.in. władza powinna mieć zaufanie do narodu, a naród do władzy.

Jak widzimy z tego, co wyżej napisano, głównym aspektem demokracji jest wola ludu (demos), przedstawiana parlamentowi przez wybranych w demokratycznych wyborach reprezentantów. Propozycje reprezentantów są rozpatrywane przez gremium, po

czym przekazywane do wyższej izby parlamentu, tzw. senatu, do powtórnego czytania, a następnie do prezydenta, który podejmuje ostateczną decyzję.

Należy tu dodać, że parlament powinien zawierać przedstawicieli wszystkich większych partii, w tym ewentualną opozycję, którzy mają prawo do głosowania w sprawie podnoszonych uchwał. W ten sposób wszelkie życzenia narodu są szczegółowo omawiane i wprowadzane w życie.

Wygląda pięknie, prawda?

Jednakże obserwacja tego co się faktycznie dzieje, mówi coś zupełnie innego. Pojmowanie demokracji przez Stany Zjednoczone, które samozwańczo ogłosiły się wzorem dla całej reszty świata, jest całkowicie błędne i realizacja zasad demokratycznych posiada mnóstwo mankamentów, na których wymienianie szkoda tutaj miejsca.

Przede wszystkim „demokracja” USA, choć teoretycznie uznaje „głos ludu”, praktycznie puszcza go mimo uszu. Inaczej mówiąc naród swoje, a władza swoje. Czy naprawdę gubernatorzy, kongresmeni i senatorzy poszczególnych stanów odzwierciedlają „wolę ludu”? Czy w najbardziej wojowniczych stanach jak Arizona, Texas, Nevada, Carolina itp., zwykli ludzie chcą wojny? Czy populacja USA to sami rasiści, antysemita, antyislamiści, rusofobi?

Jak to się dzieje zatem, że większość kongresu i senatu dyszy nienawiścią do Rosji, Europy, Korei i krajów Bliskiego Wschodu? Poza Izraelem oczywiście. Dlaczego amerykańskie mass media podsycają tę nienawiść, indoktrynując zwykłych ludzi propagandą, zamiast ich wychowywać w duchu miłości, współczucia, moralności, poszanowania prawa i tolerancji?

Te ostatnie słowa wydają się być nieznane Stanom Zjednoczonym i ich przywódcom. Przeciwno tym, którzy chcą przepchnąć „wolę ludu”, demokratycznie wybrani przywódcy teoretycznie „demokratycznego” kraju wysyłają uzbrojone po zęby wojsko i

policję. Co to jest zatem? Terroryzowanie swojego własnego społeczeństwa, które nie tylko chce współuczestniczyć w pokojowym rozwiązywaniu problemów wewnętrznych, ale chce przede wszystkim żyć bez wojen, w pokojowym świecie, budując bezpieczeństwo i prosperity.

Tymczasem w sytuacji, gdy 10% (ca 50 milionów) obywateli amerykańskich żyje na bonach żywnościowych, gdy jest kilka milionów bezdomnych i olbrzymia rzesza bezrobotnych, pomimo zadłużenia sięgającego ponad 20 trylionów, władcy USA wydają następne tryliony (wojna w Iraku kosztowała ponoć 3 tryliony) na prowadzenie bezsensownych wojen tylko po to, aby uczynić „Amerykę znowu wielką”.

Co to oznacza? Ameryka ma być „wielką” nie pod względem rozwojowym, nie pod względem zaawansowanego uprzemysłowienia, nie pod względem pokojowej współpracy z innymi krajami, nie pod względem prosperity całego narodu – a nie tylko garstki miliarderów – lecz ma być uzbrojonym po zęby imperium złożonym z podbitych wasali.

Stosunkowo łatwo prowadzić następne wojny, zagarniając bogactwa naturalne i wykorzystując lokalne armie (wspomagane przez amerykańskich doradców, trenerów i amerykańskich „marines”) do podboju tych krajów, które się jeszcze opierają wprowadzaniu „demokracji” według amerykańskiego wzorca.

Kraje odporne, czyli te, które chcą zachować suwerenność, poddaje się najpierw obróbce, wzniecając „kolorowe rewolucje” poprzez buntowanie opozycyjnych partii przeciwko sobie nawzajem, a następnie skierowując je przeciwko legalnie wybranemu rządowi. Odbywa się to poprzez eskalację niezadowolenia i innymi przebiegłymi sposobami, np. przez wprowadzenie tylnymi drzwiami Coca-Coli i McDonald’s. Nazywa się to „proxy”, czyli podboje cudzymi rękami za friko.

A kwestia zaufania? Władza może mieć zaufanie do narodu, gdy ludzie są posłuszni wobec konstytucji i prawa, ich

„patriotyzm” każe im iść i ginąć w przypadku wojny oraz są lojalni przed i w czasie wyborów do władz. Jeżeli jednostki lub grupy wchodzące w skład narodu są nieposłuszne, nie chcą iść na wojnę lub są nielojalne olewając wybory, władza ma sposoby, żeby sobie to zaufanie wymusić.

Z drugiej zaś strony naród powinien ufać władzy, uznając słuszność podejmowanych przez nią decyzji – zaś jeśli władza działa przeciwko jednostkom i narodowi, naród może zrobić rewolucję, obalić istniejącą władzę i wybrać innych ludzi, tym razem godnych zaufania.

Czy można ufać przywódcy, który dziś mówi jedno, a jutro robi coś wręcz przeciwnego? W ciągu półtora roku prezydentury Trump w swojej polityce wewnętrznej i międzynarodowej udowodnił, że zaufanie do władzy jest jedynie papierowym sloganem. Wielu Amerykanów popierających Trumpa podczas kampanii wyborczej i później, wykruszyło się w ostatnich miesiącach.

Mimo to, dzięki propagandzie, wielu nieodpornych na pranie mózgow zostało i ca 30% nadal go popiera. Co to są za ludzie? Hmm... różni. Na przykład ci, którzy chcą nosić rewolwery przy sobie; na przykład rusofobi; na przykład marzący o następnej wojnie oraz ci, którzy chcą imperialnej Ameryki. Ci Amerykanie, wywodzący się z klasy nie tylko marnie wyedukowanej, ale przede wszystkim posiadający niski poziom świadomości, idą owczym pędem i darzą Trumpa zaufaniem.

Ale jak może Trumpowi ufać koreański przywódca, jeśli zna historię Libii, Jugosławii, Iraku i Syrii? Jeśli wie jak Trump potraktował porozumienie nuklearne z Iranem i jakie ma zamiary w stosunku do tej republiki? Jeśli wbrew obietnicy USA, na półwyspie koreańskim odbywają się właśnie prowokacyjne manewry ponad 30 tys. wojska, sprzętu, samolotów i floty? Jeśli zna doktrynę Brzezińskiego i widzi co się dzieje w Syrii oraz jakie są plany Zachodu w stosunku do Rosji i Chin?

Kim doskonale sobie zdaje sprawę z sytuacji, ponieważ już

wstępne rozmowy z Pompeo odkryły zamiary Ameryki. Korea ma najpierw pozbyć się nuklearnych bomb i głowic, na co dostaje 6 miesięcy (być może Ameryka usłużnie zapewni ich transport na drugą stronę oceanu?); zniszczyć wojskową infrastrukturę i wszystkie rezultaty badań naukowych oraz porzucić plany na przyszłość. Ma zatem całkowicie rozbroić się i poddać amerykańskiemu hegemonowi. Co to jest?

Okazuje się, że Trump ma zamiar jechać do Singapuru z całą tęczką ultimatów, których spełnieniem USA warunkuje anulowanie (niektórych) sankcji, zjednoczenie obu państw koreańskich i być może wycofanie (niewielkiej) części swoich wojsk, których liczebność będzie potem po cichu uzupełniana. Wydaje się, że ostatecznie Trump odstawił na chwilę swoją pychę i zrozumiał, że jest za słaby i sam nie da rady.

Świadczy o tym otoczenie się w ciągu paru tygodni „mocnymi” ludźmi: Pompeo, były wódz CIA i zdeklarowany wróg pokoju, mianowany sekretarzem stanu; Bolton, zaciekły wróg Rosji i dyrygent wojny irackiej, obiecujący Korei Północnej libijski scenariusz, mianowany głównym doradcą prezydenta; Haspel („krwawa Gina”), była zastępczyni dyrektora CIA odpowiedzialna za tortury, szefowa „czarnych miejsc” w Afganistanie, Tajlandii, Guantanamo i w Polsce, mianowana dyrektorem generalnym CIA. Nadal istnieje liczna grupa „jastrzębi” z McCainem i Nikki Haley na czele.

Nadal istnieje establishment polityczno-korporacyjny (amerykańskie Davos), tzn. to samo „bagno”, które Trump w swojej kampanii obiecał osuszyć. Są to siły, które całkowicie przejęły władzę nad 45. prezydentem Stanów Zjednoczonych i trzymają go mocno w garści.

Trump dąży do trzeciej wojny światowej. Do nuklearnej wojny. Nawet koła wojskowe skupione w Pentagonie podzieliły się na frakcje – są tacy, którzy łapią się za głowę w przerażeniu, ale również i tacy, którzy zacierają ręce. Czy Trump naprawdę wie, czego chce? Czy w swojej naiwnej dumie narcyza wydaje mu

się, że sam ocaleje i na świecie będzie wystarczająco kim
władać i na kim robić następne miliardy dolarów?

Trump ma opinię „nieprzewidywalnego”. Jest to cecha
nadpobudliwego dziecka lub człowieka z nieuleczalnie chorą
osobowością i szczątkową świadomością. Wszystko wskazuje na
to, że zanim go obalą, doprowadzi Amerykę do upadku, a świat
do nuklearnej katastrofy. Wymienione wyżej osoby mu w tym
ochoczo pomogą.

Autorstwo: Piotr Listkiewicz

Źródło: pl.SputnikNews.com